



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1.00, bez Gazety \$1.50.

Za redakcją odpowiedzialne Pol. Lit. Tow. w Chicago. Listy i korespondencje adresować należy: Polish Literary Society, albo: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu "Dzień Świąty" zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:

Czwartek, 18 Października
Piątek, 19 Października
Sobota, 20 Października
Niedziela, 21 Października
Poniedziałek, 22 Paździer.
Wtorek, 23 Października.
Sroda, 24 Października.

KATOLICKI:

Lukasza Ewang.
Piotra z Alkantary w.
Przeniesienia św. Wojciecha
23 po św. Urszuli p. m.
Korduli p. m., Alfonsa
Jana Kapistrana w.
Rafała Arch.

SŁOWIAŃSKI:

Bratumił
Ziemowit
Budziśława
Daromiła
Przebysława
Włastymir
Siemiśław

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ DWUDZIEŚTĄ TRZECIĄ PO ŚW.

Ewangelia u św. Mateusza w rozdziale IX.

W owym czasie, gdy Jezus mówił do rzeszy, oto książę jeden przystąpił i pokłonił Mu się, mówiąc: Panie! córka moja dopiero skonała, ale pójdz, włóż na nią rękę Twoją, a żyć będzie. A wstawszy Jezus szedł za nim i uczniowie Jego. A oto niewiasta, która krwiotok przez dwanaście lat cierpiała, przystąpiła z tyłu i dotknęła się szaty Jego. A mówiła sama w sobie: Bym się tylko dotknęła szaty Jego, będę zdrowa. A Jezus obróciwszy się, ujrzał ją i rzekł: Ufaj córko, wiara twoja uzdrowiła ciebie. I uzdrowiona jest niewiasta od onej godziny. A gdy przyszedł Jezus w dom książęcia i ujrzał płaczki i lud zgromadzonych, mówił: Odstąpcie, albowiem nie umarła dziewczeczka, ale śpi. I śmiali się z Eiego. A gdy wygnano rzesze, wszedł i ujął rękę jej, i powstała dziewczeczka. I rozeszła się ta sława po wszystkiej onej ziemi.

Panowanie Zygmunta III.

Po śmierci Stefana Batorego bracia świętego Zborowskiego, zebrawszy swoich przyjaciół i krewnych, zaczęli nastawać na Zamojskiego, aby swoje urzędy poskładał. Jak się dorozumiecie, nie usłuchał takiego rozkazu Zamojski, tembardziej, że wszystka szlachta chciała, aby przy swoich urzędach pozostał, bo w czasie bezkrólewia karność i porządek w narodzie potrzebne, a wiedzieli, że Zamojski da radę wszystkiemu. Kiedy się też naród zebrał pod Warszawę na obór nowego króla, Zborowscy i ich stronnicy przyprowadzili z sobą dużo wojska, co przy swoich dworach za własne pieniądze utrzymywali. Zmiarkowali to Zamojski i panowie co z nim trzymali i przyprowadzili z sobą także niemało wojska, — i tak stanęły dwa obozy jakby nieprzyjacielskie.

Już to tak bywało i jest do tego czasu na świecie, że nie wszyscy ludzie miłują ojczyznę, ale niektórzy nadewszystko kochają swoje kieszenie albo swoją pychę. Otóż Zborowscy i wielu panów zmawiają się z cesarzem austriackim, że brata jego Maksymiliana będą na króla polskiego popierać. A żeby stać się mocniejszymi, tak umieli objechać posłanników Ojca św., że i on Austriaka jako dobrego króla popierał. Bo wiadomo wam, że kiedy inne kraje niemieckie się złutrzyły, to cesarz austriacki pozostał przy wierze katolickiej ze swymi Niemcami, którzy swojej odwiecznej natury w niczem nie zmienili, a w potrzebie zaraz się bratali,—tak katolicy jak lutrzy, byle obcy naród ucisnąć, a siebie spanoszyć. Otóż gdyby nie Zamojski, a z nim co uczciwsza część narodu, jużby od wieków było po polskiej wolności, bo niechby się też wtedy był cesarz na króla Rzeczypospolitej dostał, byliby Austriacy Polskę jak szarańcza obsiedli i po swojemu gospodarzyli. Zamojskiego nie mogli Polacy obrać królem, bo dla zazdrości panów niemało braterskiej krwi byłoby się polało. Żeby więc nie dać czasu austriackiem wojskom złączyć się z panami, umyślili obrać królem królewicza szwedzkiego, najbardziej dla tego, iż jego matka była Jagiellonką, siostrą Zygmunta Augusta, a przytem kró-

lewicz umiał dobrze po polsku. Do tego jeszcze ciotka jego królowa wdowa po Batorym przemawiała za nim, a królewicz pisał list za listem, oświadczając swoją miłość dla narodu polskiego. Po długich kłótniach a nawet gwałtach ze strony Zborowskich, większa część narodu okrzyknęła królem Zygmunta III, królewicza szwedzkiego, który się po ojcu nazywał Waza. Zaraz też prymas, tj. najstarszy biskup w Polsce, poszedł do kościoła św. Jana w Warszawie i odprawił solenne nabożeństwo na podziękowanie za ukończony szczęśliwie obór.

Dowiedziawszy się o tem Zborowscy, ogłaszają co prędzej ze swoimi stronnikami Austryaka Maxymiliana królem. Wyruszył też co prędzej Zamojski z wojskiem do Krakowa, bo Austryak na złamanie karku leciał do Polski i stanąwszy ze swoim wojskiem blisko Krakowa, zaraz się zwąchał z Niemcami, którzy mieszkali na przedmieściu Garbary. W nocy ci krakowscy Niemcy wpuścili austryackich żołnierzy i poukrywali ich u siebie, aby mogli opanować szewską bramę i tak dostać się do miasta. Ale na szczęście dowiedział się dość wcześnie Zamojski o tej niegodziwej zdradzie i kazał Garbary zapalić. Żołnierze austriaccy uciekli, ale Niemców, co ich przechowywali, wysiekło wojsko polskie bez miłosierdzia.

Złączyli się z Austryakiem Zborowscy i wielu innych panów, aby za sprawę niemiecką mordować własnych braci. Widząc wojsko Zamojskiego Polaków, stojących po stronie wrogów, wpadło w zapalczywość, a sam Zamojski w wielkim gniewie chwyta za chorągiew i na czele wojska uderza na nich. I zrosiła się ziemia polska krwią braci przez braci wylaną! Ale przy drugim natarciu tak Austriacy jak i podli Polacy poszli w rozsypkę.

Wkrótce też zjechał Zygmunt III do Krakowa, gdzie go dnia 28 grudnia 1587 r. koronowano, a Austryak wkroczył do Polski i niszczył kraj na dobre. Wyruszył więc Zamojski w 10.000 doskonałego żołnierza, a wtedy Austryak zaczął się cofać ku swoim krajom. Ale hetman go nie popuścił, jeno gnał aż pod miasto Bieczynę. Tutaj rozpoczęła się

krwawa bitwa, w której na stronie austriackiej hetmanił jeden ze Zborowskich.

Zamojski jak zawsze uderzył roztropnie i śmiało, to też skończyło się na tem, że Zborowski został uczciwie pobity. Padło Niemców przeszło trzy tysiące, a Polaków, co po ich stanęli stronie, kilka set. Maxymilian uciekł z panami polskimi do miasta Byczyny i w strachu oczekiwali, co dalej będzie. Zamojski wezwał ich, aby się poddali, przyrzekając Polakom, iż żaden śmiercią karany nie będzie. Poddali się więc, a brat cesarza austriackiego poszedł w niewolę i przesiedział w niej rok cały. Z panów polskich niektórzy uciekli do cudzych krajów, tych zaś, co poszli w niewolę, wkrótce Zygmunt III bez żadnej kary uwolnił. Bo trzeba wam wiedzieć, że król Zygmunt, aczkolwiek dopiero 21 liczył lat, już się takiej wyuczył się pychy przy swoim ojcu królu szwedzkim, że z prostym szlachcicem rozmawiać prawie nie chciał, a panowie snadny mieli przystęp i ciągnęli wodę na swoje koło. Do tego wszystkiego Szwecya od dawnych czasów wywodziła jakieś prawa do kawał inflatskiego kraju co się zwał Estonią, a ztąd Szwedzi trzymali tam niektóre zamki. Przyobiecował więc król szwedzki rzec się tych praw do Estonii, jeżeli Polacy syna jego królem obiorą. A teraz, kiedy to Zygmuntowi III przypominano, ani chciał słuchać i jeszcze groził, że odjedzie do ojca. Słyszac to Zamojski, powiedział wręcz królowi, że może do swej Szwecyi odjechać, a Polacy przy pomocy Bożej już sobie bez niego dadzą radę. Nie lubił też od tego czasu Zygmunt III Zamojskiego i nietylko w niczem go słuchać nie chciał, ale wiele rzeczy robił mu na przekorę, a zawsze ze szkodą narodu. Przytem jeszcze był Zygmunt duszą i ciałem za Niemcami, bo Szwedzi także należą do szczepu niemieckiego i nawet mową nie wiele się od nich różnią. Umyślił się też król żenic z krewną cesarza austriackiego, a gdy się szlachta o tem dowiedziała, bardzo hałasowała o to bratanie się z Niemcami. Król, aby szlachtę uspokoić, wykręcił się, że ani myśli o tem, a tymczasem jak zamierzył, tak też z Austryaczką się ożenił.

Kiedy umarł król szwedzki, Zygmunt III pojechał do

Szwecyi, aby tam tron objąć po ojcu. Ale zaraz na wstępie nie bardzo się narodowi szwedzkiemu podobał, gdyż Szwedzi byli wiary luterskiej, a Zygmunt nie chciał się w ich kościele i przez ich biskupa koronować, ale po katolicku. Do tego zrzucał panów luterskiej wiary z urzędów, a osadzał takich, których naród nie cierpiał, byle jeno katolików. Trzeba wam wiedzieć, że Zygmunt był bardzo uparty, a przytem wcale małego rozumu, i jak się uwziął, to gwałtem chciał na swoim postawić, a najczęściej źle na tem wyszedł. I w Szwecyi skończyło się na tem, że po długich kłótniach i targach koronował się w luterskim kościele i przez luterskiego biskupa, a naród szwedzki stracił zupełnie do niego serce i zwrócił się do jego stryja, który też tylko o tem myślał, jakby królem zostać.

Kiedy Zygmunt siedział jeszcze w Szwecyi, Tatarzy w r. 1595 wpadli na Pokucie i szeroko kraj pustoszyli, a tym razem nie brali ludu w niewolę, tylko wszystko w pień wycinali. Jak też przyszła ta okropna nowina do Krakowa, lud płakał głośno po ulicach i modlił się ze łzami po kościołach, jakby już każdemu najbliższego z krewnych zabito. Bo też człowiek, co kocha rzetelnie ojczyznę, kiedy posłyszysz o jakiej krzywdzie w narodzie choćby o mil dwieście, to mu tak samo serce z żalu pęka, jak kiedy patrzy na ucisk rodzonego brata. Wołał też Zamojski o ratunek dla biednego ludu i sam ruszał co prędzej z wojskiem, jakie miał. Skoro się tylko zbliżał, Tatarzy umykali co tchu za granicę Polski. Gonił ich Zamojski, ale nakoniec musiał dać pokój, bo się złączyli z wielkiem tureckiem wojskiem.

Tymczasem Kozacy zaporozcy, którzy to niby podlegali Polsce, bo na każdą wojnę stawali z Polakami do boju, napadali bezustannie kraje tureckie, tatarskie i moskiewskie, jedynie dla łupu, nie pytając się, czy Polska z temi narodami w wojnie czy w pokoju. Tem swoim rabusioństwem ciągnęli nieraz na Polskę niemało kłopotu, za co ich atamanowie surowo po kilka razy byli karani. Najwięcej podmawiali Zaporozców do tych napadów Austriacy, sypiąc pomiędzy nich gęsto pieniędzmi, bo Turcy szykowali wielkie wojska

przeciw cesarzowi austryackiemu, więc myśleli Austriacy, że przez te napady kozackie obróćą turecką wojnę na Polskę. Wysłał więc sejm kilku z panów i ze szlachty na sąd i ukaranie Zaporozców. Owe Kozaczyska tak się rozzuchwaliły, iż napadały ziemię owych panów, co ich karali i jak Tatarzy jacy niszczyli wszystko ogniem i mieczem.

Było w starszyźnie kozackiej dwóch, co się naówczas wynieśli nad wszystkich, jeden zwał się Łoboda, ataman Zaporozców, drugi Nalewajko, który nazbierawszy sobie do tysiąca zbiegów, złodziei i różnej hołoty, wałęsał się z tą swoją zgrają, to walcząc z Austryakami przeciw Turkom, to łupiąc na swoją rękę kraje tureckie, aż nakoniec wpadł na Ruś, gdzie nie stało żadne wojsko, i tam zrabował miasto Samborz, potem na Wołyniu miasto Łuck, a ztamtąd poszedł na Litwę, gdzie złupił bogate miasto Mohylew. Dowiedziawszy się ataman Łoboda, jak się szczęśliwie powodzi Nalewajce, wpada ze znacznem kozactwem na Ukrainę i niszczy królewszczyzny i dobra polskich panów najokrutniej. A do tego, gdzie się tylko Zaporozcy ukazali, wszędzie lud ukraiński się z nimi łączył, który jak wiecie też był kozackim, jeno że osiadłym, kiedy Zaporozcy bez żon, bez gospodarstw, żyjący z łupu, albo z żołdu na wojnie, niczem innem nie byli, tylko kozackiem żołnierstwem. Szlachta zaś kozacka na Ukrainie przepolsczyła się, a większa część nawet porzuciła wiarę ruską i przeszła na katolicyzm. Później nie bratała się już ta szlachta z chłopami, bo chłopci na każde zawołanie nie rwali się do broni, ale się oglądali na szlachtę. Więc też szlachta ukraińska, jak było w całej Rzeczypospolitej, zaczęła ich utrzymywać w uległości dla siebie, bo jak wiecie, że dla tego szlachta w Polsce rządziła, iż życiem i majątkiem broniła ojczyzny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Stare przysłowia w nowomodnej szacie.

Strzeż się bliźniego swego, jak siebie samego.

Trzeba kuć bliźniego, dopóki gorący.

Co nie twoje, tego nie rusz, tylko zabierz ze sobą.

Pierwsi ludzie na ziemi.

(Ciąg dalszy.)

Nasamprzód rzecz to pewna, że różnice pojedynczych ras ludzi nie dotyczą istoty człowieka, ale tylko zewnętrznych niektórych przypadłości, np. cery, włosów, kształtu czaszki i ostatecznie stopnia rozwoju fizycznego i moralnego. Na różnice te wpływa, jak to udowodniono, pokarm, klimat i sposób życia. Wszakże i u nas, w jednym i tym samym klimacie, pokarm i sposób życia wpływa niezmiernie na delikatność płci, cerę i budowę ciała; porównaj tylko tych, którzy wypieszczeni są w salonie na delikatnych potrawach i w wygodach, z tymi, którzy grubą strawą krzepią siły, na powietrzu i słońcu ciężko muszą pracować. A różnica klimatu najwięcej w tej mierze znaczy. Udowodniono doświadczeniem, że pokarm, klimat i sposób życia w ten sposób wpływa na ustrój człowieka, iż już w dziesiątem pokoleniu wielka objawia się różnica pomiędzy potomkami a pierwszymi rodzicami. I tak np. potomkowie Europejczyków, którzy przed dwustu laty wynieśli się do gorących południowych krajów, już znacznie się różnią od swych dawniejszych ziomków; jakże wielką musi być ta różnica po upływie kilku tysięcy lat, mianowicie gdy wszelka łączność wzajemna była zerwaną. Ludzie przedpotopowi najpierw wskazani byli na pokarmy roślinne i odpowiednio do tego mieli też ukształcone zęby, dla tego też znajdują tego rodzaju mumie, tj. zachowane ciała, które nie mają przednich i ocznych zębów ostrych, jak my, do rozywania mięsa przeznaczonych, ale wszystkie zęby są tępe, służące do miażdżenia roślinnych pokarmów. A zatem wynika stąd, że zęby późniejszych ludzi ukształciły się odpowiednio do późniejszych warunków życia, do pokarmów mięsnych. Jak zawsze mniejsze przypadłości organizmów ukształcają się do każdorazowych warunków życia, tak też i różnice ras powstały, odpowiednio do wpływu klimatu i innych warunków życia pojedynczych części ziemi.

Że różnica ras nie wskazuje pięciu osobno stworzonych rodzajów ludzi, ale przeciwnie bynajmniej się nie sprzeciwia

wspólnemu pochodzeniu ludzi, dowodzi i ta okoliczność, że pomiędzy pojedyńczymi rasami nie są bynajmniej ostro wytknięte granice, ale są rasy przejściowe. Dalej nie ma ani jednej cechy wybitnej, któraby tylko jednej rasy była własnością.

Wszystkie rasy ludzi mają ten sam układ ciała, to samo delikatne ukształcenie organizmu, te same objawy życia w przeciwieństwie do zwierząt. To też ludzie najrozmaitszych ras mogą się mieszać, mogą łączyć się węzłami rodzinnymi, a potomstwo tych ras mieszanych znowu nowem cieszyć się może potomstwem. Nie byłoby tak, gdyby pomiędzy rasami była różnica co do istoty; wtenczas mieszańcy ras, np. Mulaci byłiby tak samo niepłodni, jak mieszańcy rozmaitych rodzajów zwierząt, np. muły, mieszańcy konia i osła. Przeciwnie doświadczeniem stwierdzoną jest rzeczą, że potomkowie Indyanina i niewiasty rasy kaukazkiej i przeciwnie, już w trzeciem pokoleniu przechodzą zupełnie w pierwotną rasę kaukazką, a potomkowie Europejczyka i murzynki, i przeciwnie, w piątym pokoleniu nabierają zupełnie białej cery i przybierają wszystkie cechy kaukazkiej rasy.

I duchowe zdolności ras rozmaitych nie różnią się bynajmniej co do istoty, ale jedynie tylko co do stopnia rozwinięcia. Rozum, sumienie, prawo myślenia, samowiedza, wolna wola, możność i pragnienie doskonalenia się, wspólne są wszystkim ludziom bez różnicy ras, świadcząc zarazem o tem, że z jednego duchowego pochodzą źródła. Najdziksza na najniższym stopniu rozwoju umysłowego stojąca rasa ludzi, ma zdolności do duchowego udoskonalenia się i do logicznej mowy. Do tego nie doprowadzi się nigdy żadnego zwierzęcia, żadnej, chociażby najwięcej pod względem ciała do człowieka podobnej małpy. Ucywilizowani w bardzo krótkim czasie mieszkańcy Nowej Zelandyi najlepszym są tego dowodem.

Pominąwszy już wszystkie fizyologiczne świadectwa, udowodniły też najnowsze badania lingwistyczne i starożytności, że ludzie z jednej pochodzą rodziny. Dokumenta historyczne, mumie i wykopaliska szkieletów ludzkich wykazują,

że człowiek od samego początku nie doznał żadnych ważniejszych zmian co do kształtu i wielkości ciała, i że w rzędzie organizmów stworzonych ostatniem jest ogniwem, ale też że jedną stanowi rodzinę, pochodzącą od wspólnego rodzica. Pierwiastki wielu słów, mianowicie zaś logika mowy, są u wszystkich ludzi te same, tak że możnaby ułożyć powszechną gramatykę. Wszystkie zawiązki kultury, jakie np. wykazują egipskie, meksykańskie i indyjskie starożytności, cała mitologia pogan, mianowicie podania wszystkich narodów o potopie, podział czasu na tygodnie o siedmiu dniach, poczucie zależności od pewnej wyższej istoty — wszystko to, jako też inne podobieństwo obyczajów i sposobów życia rozmaitych narodów i ludów w pierwotnym stanie rozwoju ich kultury, wskazują na jedno i to samo pochodzenie. W przedwiekowych mieszkaniach Europy znajdują się narzędzia z kamienia, jaki tylko znajduje się w Azji. Gdy Hiszpanie w początkach szesnastego wieku zdobyli Meksyk i Peru w Ameryce, zastali tam najzupełniej uporządkowaną organizację państwową, wcale poprawnie zaprowadzony kalendarz, pojęcie o najwyższej istocie, podanie o potopie, o arce, w której drugi protoplasta rodu ludzkiego uszedł powszechnej zagłady, jako też o pierwszych początkach świata zupełnie prawie tak samo, jak to podaje Pismo św. Inne starożytne podania meksykańskie opowiadają o wędrówce ludów, przybyłych ze wschodu (z Europy), budowle pierwotnych mieszkańców Ameryki, mianowicie na półwyspie Yucatan, szczególnie zaś piramidy meksykańskie, np. w Chochuli i w prowincyi Puebli, podobne zupełnie do egipskich, tak samo skierowane dokładnie na cztery części świata, i co najdziwniejsza, tak samo jak egipskie, pokryte nawet hieroglifami, tj. napisami, wyrażonemi przez obrazki, dowodzą, że ludy te pochodzą z tej samej rodziny, co mieszkańcy Europy, Azji i Afryki, że przyszli do Ameryki z Europy, i to prawdopodobnie przez wyspę Islandyą do Grenlandyi, gdzie droga morska nie jest tak daleka. Inni znów uczeni twierdzą, że na miejscu, gdzie dziś szumi Ocean Atlantycki, istniał stały ląd zwany Atlantyda, i ztąd przejście ludzi z Europy do Ameryki nie było

trudnem. Ludy te po wielu, wielu wiekach zachowały jeszcze pierwotne tradycje, a nawet sztukę i przemysł. A w ten sam sposób, jak do Ameryki, rozszerzała się ludność od wyspy do wyspy, za pomocą łodzi i okrętów, który to wynalazek był u wszystkich ludów jeden z najpierwszych.

Słynny badacz przyrody Aleksander Humboldt mówi w swych pismach: „Stwierdzając jedność rodu ludzkiego, sprzeciwiamy się także owemu przykreemu pojęciu o wyższych i niższych rasach ludzi. Są ludy skłonniejsze do wyższego ukształcenia, są więcej rozwinięte, uszlachetnione duchową kulturą, ale nie ma szlachetniejszych i podlejszych szczepów. Wszystkie zarówno stworzone są do wolności, która w pierwotnym stanie każdemu pojedynczo, a w życiu państwowem, przy korzystaniu z politycznych instytucji całemu społeczeństwu prawnie się należy.” Tak samo poświadcza drugi badacz, Wilhelm Humboldt, że wszyscy ludzie, zamieszkujący całą kulę ziemską, bez względu na religię, narodowość, cerę, stanowią jedną wielką bratnią rodzinę.

Wszyscy sumienni badacze zgadzają się na wspólne pochodzenie ludzi; mianowicie Tremaux, który długie lata strawił na badaniu różnicy ras ludzi, przyszedł do tego przekonania, że człowiek pod wpływem klimatu, w którym żyje, stale się przekształca. I tak klimat może murzynów z czasem zupełnie zamienić na białych, i przeciwnie białych europejczyków na murzynów. Różnice zatem ras nie sprzeciwiają się bynajmniej nauce o pochodzeniu wszystkich ludzi na całej kuli ziemskiej od jednych rodziców, ale są tylko skutkiem klimatu, trwającego wieki całe przez wiele generacji.

(Dokończenie nastąpi.)

Pan Bóg obywatelem w Kaltern.

Jakto? — zapyta niejeden zdziwiony.

Ano tak, historia to prawdziwa i bardzo pouczająca.

Kaltern jestto wioska w Tyrolu. Wysoko sterczą tam wszędzie skaliste góry ze spadzistemi ścianami, pokryte po

wielkiej części lasami, a za niemi kryje się ta skromna tyrolska wioszczyna, naokoło zaś widać porozrzucane na górach wsie, miasteczka, domy, dwory i zamki, maleńkie wprawdzie w stosunku do otaczającej je przyrody, ale bardzo malowniczy tworzące obraz. To więc jest Kaltern i tudotąd przyszedł raz pewnego podróżny i wszedł spragniony do gospody.

Podczas gdy rozmawiał z gospodarzem, usłyszał głos dzwonka, cienki i piskliwy — był to najmniejszy dzwonek na wieży.

— Cóż to znaczy? — zapytał gość gospodarza.

— Proszę pana, — odpowiedział gospodarz, — dziś piątek, a w piątek o godzinie jedenastej rozpoczęło się konanie naszego Zbawiciela, jak się to robi u każdego chrześcianina, gdy się zbliża chwila konania.

To mówiąc zdjął czapkę, przeżegnał się i odmówił modlitwę. Gość poszedł za jego przykładem. Dzwonek tymczasem klekotał bardzo nędznie; drugiego takiego malca na żadnej pewnie nie ma wieży. Podróżnemu przykro było słuchać tego biednego dzwonienia, które tak się słyszało, jak gdyby z łaski dzwoniono jakiemu żebrakowi albo złoczyńcy na śmierć skazanemu. Dla tego też zapytał po skończonej modlitwie.

— Czy nie macie w Kaltern większych dzwonów?

Zadziwiony i obrażony prawie spojrzał na niego gospodarz.

— Cóż pan sobie myślisz? To tylko najmniejszy dzwoneczek. Mamy jeszcze trzy inne, które wszystkie są daleko większe, a największy to taki olbrzymi, że go za górami słychać o milę drogi!

— A czemu w ten dzwon nie dzwonicie w każdy piątek?

— zapytał gość dalej.

Gospodarz stanął przed nim w butnej postawie i rzekł z dumą:

— Pan tego nie rozumiesz. We wielki dzwon wolno tylko wtenczas dzwonić, gdy obywatel z Kaltern umiera. A jeżeli to nie jest obywatel z Kaltern, to też w ten dzwon

dzwonić nie wolno. Rozumiał to pan teraz? Inaczej mógłby pierwszy lepszy zagrodnik z obcych hubów, albo ktoś ze świata przyjść tudotąd, umrzeć u nas i myśleć, że do tego naszym największym dzwonem będziemy przydzwaniiali. Czy nie racya?

Wtenczas żał się zrobiło podróżnemu, że Zbawiciel nasz w Kaltern nie ma prawa obywatelstwa, i że w godzinę Jego śmierci najmniejszym dzwonkiem klekocą, jakby pierwszemu lepszemu ze świata. Dla tego więc zapytał gospodarza:

— A ile kosztuje u was nabycie prawa obywatelstwa?

— Dwanaście guldenów, — odpowiedział gospodarz, — i poczęstne dla rady gminnej. Ale my też pierwszego lepszego nie przyjmujemy, lecz dobrze się przypatrzmy wprzód tym, którzy się o przyjęcie zgłaszają, — dodał patrząc podejrzliwie na podróżnego.

— No, ale Pana Boga przecież przyjmiecie na obywatela? — zapytał tenże.

— Tak, ale pan nie jesteś przecież samym Pa — — — zawołał gospodarz przełęczniony, nie mógł zapytania dokończyć i czempredzej ściągnął z głowy czapkę.

— Nie, to nie, tylko chciałbym Mu tu kupić prawo obywatelstwa, aby w godzinę śmierci Jego, w piątki, zawsze dzwoniło w największy dzwon, tak jak się dzwoni, gdy umrze obywatel w Kaltern.

To mówiąc wyliczył podróżny dwadzieścia guldenów na stole, dwanaście do kasy gminnej, a ośm na konsolacyą dla prześwietnego magistratu. Zwołano natychmiast posiedzenie, a szanowni członkowie rady gminnej racząc się piwem uchwalili, że Zbawiciel nasz ma mieć prawo obywatelstwa. I od tego też czasu istotnie dzwonią w piątki w dzwon największy.

Później przy trzeźwej rozwadze przekonali się obywatele w Kaltern, że nieznany ten podróżny grubo ich zawstydził i nie złą im dał nauczkę. Ten zaś opisał to zdarzenie w bardzo pouczającym wierszyku, pokazując, że na całym świecie tak sobie ludzie postępują, jak sławetne obywatelstwo w Kaltern. Wszędzie bowiem tak się dzieje, że nieraz:

“We wielki dzwon uderza, kto siebie sam wynosi,
Najmniejszy mu wystarcza, gdy Bogu chwałę głosi”.

AWANTURKA Z NIEDŹWIEDZIEM.

OPOWIADANIE MYŚLIWEGO.

Jest temu więcej jak lat czterdzieści, a byłem wtenczas już silnym i dziarskim młodzieńcem, gdy nas pięciu puściło się z Vincennes łodzią przez rzekę Ohio; niezdługo byliśmy w słynnym dla myśliwców raju, w Kentucky: dziczyzny były tu stada całe, a niedźwiedzie biegały tu po boru, jak teraz nierogacizna. Po kilku dniach, w których szczęśliwie polowaliśmy, wyszedłem pewnego poranku, a było to zimą, w lutym, w czasie tęgiego mrozu, do lasu i naraz ujrzałem przed sobą spróchniałe drzewo z otworem w znacznej wysokości. Do kata! pomyślałem sobie, to drzewo właśnie tak wygląda, jak gdyby było mieszkaniem zimowego tłustego niedźwiedzia — zbliżam się więc, obchodzę drzewo naokoło i znajduję najwyraźniejsze ślady niedźwiedzych pazurów — oczywisty dowód, że niedźwiedzie wchodziły na drzewo i schodziły. Więc tedy pomyślałem sobie: wdrapię się do góry i będę wचाł; jeżeli poczuję odór niedźwiedzia, wezwę towarzyszy, wrzucimy ogień do wnętrza, a gdybym tem niedźwiedzia nie wypłoszył, będzie znak oczywisty, że się omyliłem. Przy pomocy więc młodego drzewa, które stało tuż obok, wdrapałem się w górę i włożyłem głowę do otworu. Istotnie — mocny dochodził mnie odór niedźwiedzia. Ale nieco wyżej jest jeszcze jeden otwór, więc drapię się wyżej, aby i tam nos swój wrazić, i przytem nieostróżnie stanąłem na krawędzi otworu; wtem kawał spróchniałego drzewa się ułamał, ja padam i wsuwam się jakby kula w lufę gładko i lotem błyskawicy w środek pnia spróchniałego.

Skoro tylko zleciałem na dół, było pierwszą moją myślą przekonać się, jaką właściwie pod sobą mam podkładkę, bo nie bardzo mi przyjemną była ta myśl, że się mogłem kwaterować na łeb śpiącemu niedźwiedziowi. Ale wnet się uspokoiłem, bo przekonałem się, że w pniu drzewa nic nie było innego, tylko miękkie próchno, w którym zagrzałem wyżej kostek. Prócz tego przekonałem się z wnętrza pnia, że takowy albo jeszcze służy, albo też niedawno dopiero służył niedźwiedziowi za mieszkanie, bo ostry zapach zupełnie jeszcze był świeży, a przytem pień wewnątrz był tak gładko i misternie wyskrobany, jak gdyby go stolarz był wyheblował, a jednak wołałbym był w tej chwili zewnątrz oglądać jego szorstką korę, jak wewnątrz gładkie drzewo.

Gdy sobie wewnątrz wszystko dobrze obejrzałem, chciałem się w górę wdrapać z powrotem; ale któż zdoła opisać moje przerażenie, gdy się przekonałem, że wprawdzie lekko i gładko się spuściłem, ale że potrzeba nietylko ostrych pazurów, lecz i siły niedźwiedzia, aby się znowu wdrapać w górę! Zimny pot wystąpił mi na czoło, a ja w ponurem usposobieniu usiadłem na ziemi, aby się zastanowić nad tem, co teraz począć. Krzyczeć i hałasować byłoby szaleństwem, bo na 80 do 90 mil w około nie było pomieszkania ludzkiego z wyjątkiem na przeciwnym brzegu rzeki, a towarzyszy moich mógłby chyba tylko ślepy traf tudotąd sprowadzić, co tem mniej było prawdopodobnem, żeśmy dniem poprzednio się byli umówili, że nazajutrz udamy się dalej wzdłuż rzeki ku jej ujściu, więc towarzysze będą prawdopodobnie przypuszczali, że poszedłem naprzód, podczas gdy ja tu umrę z głodu i pragnienia. Myśl o śmierci głodowej razila mnie piorunem; zerwałem się i z wytężeniem, na jakie tylko rozpacz zdobyć się może, próbowałem na nowo wdrapać się w górę, jednakże daremnie. Nie znalazłem punktu oparcia, a pień, który się wprawdzie u góry zwężał, był tu u dołu, gdzie się znajdowałem, ponadto obszerny, abym się mógł plecami i kolanami oprzeć i w ten sposób dźwignąć ku górze. Po daremnem wysileniu spadłem na ziemię.

Dzikie myśli o samobójstwie zaczęły mi krążyć po głowie; nóż, który miałem przy sobie, prawdziwą był dla mnie pociechą, bo wiedziałem przynajmniej, że mam na to sposób, aby nie umrzeć śmiercią głodową. Gdy tak siedziałem zagrożony w myślach ponurych, zdawało mi się, że słyszę, jakoby coś zewnątrz przy drzewie poruszało się i drapało po korze. Wstrzymałem oddech i słuchałem — słyszałem wyraźnie, że coś się w górę drapie po drzewie. Chciałem zakrzyknąć, ale też w tej chwili spostrzegłem, że się otwór u góry zaciemnił i najgłębsza zapanowała ciemność. Przyszło mi na myśl, że to nikt inny, tylko gospodarz tego mieszkania, niedźwiedź, który dla ugaszenia pragnienia od czasu do czasu swe łożysko zimowe opuszcza, a teraz do swego gniazda powraca. Cóż teraz począć? Walczyć z nim o życie, kiedy to tej walki ani nie było warte? Jednakowoż wy dobyłem nóż mój myśliwski i oczekiwałem pana brata, który spokojnie schodził na dół, a była to może około 30 stóp głęboka rura, i zapewne nie przeczuwał, jakie tam znajdzie towarzystwo. Gdy jednakże zeszedł niżej, inna przyszła mi myśl. Wiecie, że niedźwiedź w spróchniałem drzewie tyłem

schodzi na dół, więc czemp prędzej schowałem nóż do pochwy i gdy niedźwiedzisko tuż było nademną, uczepiłem się rękami z konwulsyjną siłą długich jego kudłów u biodra, i aby tem pewniej się uwiesić, uchwyciłem zębami jego ogon i tak do niego byłem przyczepiony, jak pijawka. Co sobie pocziwy mysio wtenczas pomyślał, gdy w tak osobliwy sposób we własnym swym domu został powitany, tego powiedzieć nie umiem; ale to wiem z pewnością, że w pierwszej chwili przerażenia nie źle pazury swe wpajał w drzewo, gdy potężnymi swemi łapami wrywał naprzód, i z ogromnem wysileniem i w dzikim pospiechu zdążał ku górze tą samą drogą, którą przed chwilą z takim błogim spokojem schodził. Z razu obawiałem się, że się znuży i spadnie na dół, ale on toczył się ku górze jak maszyna. Skoro tylko byłem przy otworze i głowę i ręce miałem zewnątrz drzewa, puściłem kudły, zwolniłem niedźwiedzia od ciężaru i uczepiłem się krawędzi drzewa, aby nie spaść po raz drugi, bo pewnieby niedźwiedź tak rychło nie przyszedł mi na pomoc. Jak piorun zsunął się niedźwiedź z drzewa, a zanim się dobrze usadowił i kudły z ust wypłuć zdołałem, uciekła bestya jak oparzona, a co najdziwniejsze, z takim umykała strachem, że się ani razu nie obejrzała, aby się przekonać, kogo windowała do góry; widocznie nie była ciekawa. Nie mogłem jej też podziękować za przysługę, bo w pierwszej chwili, jak powiedziałem, miałem pełne usta kudłów, które dopiero zwolna wypłuć zdołałem.

STUDENCKIE FIGLE.

W Warszawie wszedł wesoły student do winiarni, znanej z doborowych win i cen wygórowanych. Gdy zażądał cennika win, spojrział na niego gospodarz badawczo, niedowierzając bardzo filuternej jego minie, ale nic mu nie pozostało, jak podać mu cennik i kazać mu przynieść butelkę najdroższego wina, którą sobie wybrał. Student pił, przeglądając gazety, aż się butelka wypróżniła, podczas gdy gospodarz nie spuszczał go z oka i teraz do niego się zbliżył.

— Chciałbym zapłacić, panie — rzekł z dobrą miną, — ale trzeba panu wiedzieć, że umiem też inaczej płacić, jak brzęczącą monetą. Cobyś pan na to powiedział, gdybym

panu zapłacił złotą, nieocenioną piosneczką?

Gospodarz poprosił go, aby sobie żartów i drwin nie pozwalał, ale zapłacił, lecz student nie ustąpił.

— Przecież to od pana zależy, panie dobrodzieju, — rzekł. — czy pan piosneczkę moją chcesz przyjąć w miejsce zapłaty lub nie. Jeżeli panu coś zaśpiewam, a pan sam powiesz „to mi się podoba“, natenczas nie będę potrzebował zapłacić, a jeżeli pan powiesz: „to mi się nie podoba“, wtenczas pan dostaniesz pieniądze.

— Jeszcze raz proszę nie pozwalać tu sobie żartów! Zapłać pan i basta!

Obecni goście, których ta rozmowa coraz więcej zaczęła bawić, wmieszali się w sprawę i poczęli gospodarza namawiać, aby przystał na ten żart, wszakże przy każdej piosence wolno mu powiedzieć „to mi się nie podoba“. Gospodarz dał się przekonać i przystał, a student zaczął śpiewać:

Na dolinie zawierucha

Mokrym śniegiem dmie....

— To mi się nie podoba! — przerwał mu gospodarz.

Gdyby orłem być

Lot sokoli mieć. . . — śpiewał znowu student.

— I to mi się nie podoba! — rzekł gospodarz.

Teraz student rozpoczął z zapalem:

Szumia jodły na gór szczycie,

Szumia sobie w dal....

— A to mi się wcale nie podoba! Zapłać pan i kwita!

— No, jeżeli się panu to nawet nie podoba, to już nie ma rady! — rzekł student z bardzo smutną miną, wydobył z kieszeni sakiewkę i począł na stół liczyć pieniądze, nucąc sobie po cichu:

Zapłać, zapłać, miły bracie,

Bo gospodarz czeka na cię!....

— Tak, to mi się podoba! — rzekł gospodarz. widząc pieniądze na stole i zapominając zupełnie o układzie.

W tej chwili student zgarnął pieniądze, wezwał gości na świadków, że sumiennie dopełnił układu i z powagą wyszedł z winiarni. Gospodarz z otwartymi usty patrzył osłupiały za odchodzącym, podczas gdy goście śmiali się do rozpuku.